

Tekst: Tomasz Kobielski
Zdjęcia: Tomasz Kobielski, Petr Jahoda



Bergson Carstensz

wspinaczka w krainie ludożerców

Piramid





Po lądowaniu patrzyła na nas cała wioska, byliśmy wyraźną atrakcją

Piramida Carstensa [oficjalna indonezyjska nazwa: Puncak Jaya – red.] – bardzo niewielu ludzi i nie wszyscy nawet wspinacze wiedzą co to za góra. Przekonałem się o tym we własnym klubie, kiedy kilka osób zapytało mnie dlaczego właśnie ona jest celem tego wyjazdu i gdzie leży. Wydaje się więc, że tylko „wtajemniczeni” w temat Korony Ziemi znają tę nazwę. Gdyby nie realizowany projekt „Korony” może nie wiedziałbym o tej górze, a już na pewno byłaby na dalekim miejscu jeśli chodzi o górskie cele do realizacji. Dziś stwierdzam, że dużym błędem byłoby tam nie jechać!

Przygotowania i planowanie trwały dość długo. Udało się nam pojechać w marcu ubiegłego roku. Pomysł Piramidy Carstensa zrodził się po zdobyciu Mt Everestu wiosną 2006 r., gdy wspólnie z Januszem Adamskim i Bogusiem Ogrodnikiem myśleliśmy jak zorganizować dwie kluczowe wyprawy, trudniejsze logistycznie i finansowo, czyli Piramidę oraz Mt Vinson na Antarktydzie. Wiedziałem od początku, że nie będzie to zadanie łatwe. Trzeba było uzyskać informacje oraz zdobyć potrzebne pozwolenia, środki finansowe na wy-

jazd. Po kilku miesiącach przygotowań udało się również znaleźć osobę, która pomoże zorganizować sprawy na miejscu i pójść razem z nami jako tłumacz. Dopiero na miejscu okazało się jak bardzo to było pomocne. Jedziemy! Udało się dopiąć prawie wszystkie elementy z wyjątkiem jednego - finansów. Jak to zazwyczaj niestety bywa wyłożyłem mnóstwo pieniędzy z własnego budżetu, ale czego się nie robi dla pasji, od dawna wszyscy nazywają mnie wariatem i nie rozumieją dlaczego to robię, czemu tym razem miałyby być inaczej?

W marcu 2007 r. dotarłem wraz z Januszem, Bogusiem i resztą ekipy do Dżakarty w Indonezji. Tu spotkaliśmy się z Petrem, partnerem i przewodnikiem, który już raz wcześniej był na Piramidzie. Trzy dni później po załatwieniu ostatnich formalności w Ministerstwie Turystyki oraz zakupach potrzebnego sprzętu polecieliśmy na Nową Gwineę.

W końcu ulga, brak zgiełku ulic wielkich miast i inna atmosfera. Wokół wilgoć i specyficzny rodzaj zaduchu. Oczywiście pada, ale tutaj to przecież absolutnie normalne, ponoć pada codziennie popołudniami. Jesteśmy prawie na równiku więc dzień jest bardzo krótki, około 18.00 robi się już zupełnie ciemno. Dopiero tu zaczyna się prawdziwa wyprawa i przygoda. Prawdziwy koniec cywilizacji w rozumieniu białego człowieka. Na ulicach ludzie innej rasy, uśmiechają się, ale można wyczuć dużą rezerwę, coraz mniej osób rozumie co do nich mówimy po angielsku. Osobiście po raz pierwszy znalazłem się w sytuacji, kiedy bez kon-

Informacje o wyprawie

Wyprawa trwała: od 16 marca – 5 kwietnia 2007 r. (łącznie z podróżą).

Koszt: ok. 10.000 USD na osobę, w tym organizacja, przeloty, niezbędne rządowe pozwolenia, opłaty dla tragarzy, wizy itd.

Lot: z Dżakarty do Jayapury na Nowej Gwinei, lot awionetką do dżungli, powrót tą samą trasą.

Ekipa projektu „Korona Ziemi”: Tomasz Kobielski, Janusz Adamski, Bogusław Ogrodnik.

kretniej zewnętrznej pomocy nie byłoby mowy o tym aby dalej kontynuować wyjazd, a to dopiero był początek...

Wioska

Następnego poranka załadunek bagażu do awionetek, które przetransportują nas do dżungli. Jako pierwsza w historii polska ekipa wybraliśmy drogę dotarcia do Piramidy od północy przez

Po drodze pokonujemy liczne przeprawy przez rwące rzeki. Tubylcy polecają zdjęcie butów aby się nie poślizgnąć



dziewiczą dżunglę. Innym sposobem jest dotarcie helikopterem do bazy, ale dużo bardziej kosztownym no i zupełnie bez przygody. Przygoda i to w nadmiarze przywitała nas po wylądowaniu wśród górskiej dżungli w wiosce Beoga. Samoloty przyleciały i chwilę później odleciały, a my zostaliśmy otoczeni przez całą wioskę tubylców, którzy bacznie się nam przyglądali i zupełnie nie odpowiadali na nasze nerwowe uśmiechy. Poczuję się naprawdę nieswojo. Dla wzmożenia czujności Petr rzucił szybko do nas: „Pilnujcie bagaży, jak zabiorą jeden to zabiorą wszystkie” i udał się na poszukiwanie wodza wioski. Jako jedyny z nas potrafił posługiwać się językiem indonezyjskim [liczbę języków w indonezyjskiej Zachodniej Papue ocenia się na od 250 do 700 - red]. Otoczyliśmy zwartym kołem bagaż i niepewnie spoglądaliśmy wkoło. Warto tu dodać, że plemiona zamieszkujące Papuę jeszcze pięćdziesiąt lat temu stosowały menu w postaci ludzkiego mięsa. Najstarsi wojownicy w otaczającym nas tłumie na pewno jeszcze to pamiętali... Niektórzy młodszy nosili ubrania „białych”, a u starszych ciągle codziennym strojem była tyl-

ko koteka – wyoknana z penych rodzajów dyni osłona zasłaniająca jedynie najbardziej wstydlivą część ciała. To niezwykle widok, choć Papuasi nie przepadają za aparatem fotograficznym i lepiej nie robić zdjęć zbyt nachalnie.

Gdy zjawił się Petr, przenieśliśmy bagaże do lokalnego posterunku policji. Tak, tak to nie pomyłka, tutaj sięga władza Indonezji, choć sami Papuasi widzą białego człowieka tylko dwa razy do roku, ale i tak są pod baczna obserwacją rządu. Posterunek to drewniana chałupa w wiosce, gdzie na przemian zmieniają się strażnicy, przylatujący tu samolotami. Otrzymujemy informację, że trwają walki plemienne i nie ma najmniejszych szans aby z wioski poszli z nami tragarze. Dzień wcześniej zabito kilku członków tego plemienia i wszyscy boją się opuszczać wioskę. Sytuacja staje się podbramkowa; bez miejscowych przewodników i tragarzy szansa na dotarcie przez dżunglę do Piramidy Carstensa maleje do dziesięciu procent. Petr wprawdzie szedł już tą drogą, ale twierdzi, że to bardzo trudne do powtórzenia bez Papuasów – w lesie trudno odnaleźć właściwy kierunek. Przed

W czasie dnia zawsze był mały postój na posiłek, Papuasi rozpalali ogień i przyrządzali jedzenie



nami sześć dni drogi przez dziewiczą górska dżunglę poprzecinaną rwącymi potokami, gdzie często nie widać najmniejszych nawet śladów ścieżki. Nie tylko możemy nie dotrzeć sami pod górę, ale jeśli się zgubimy to może być problem z powrotem. GPS nie pomoże; po pierwsze w lesie nie ma sygnału, po drugie nawet jeśli znamy kierunek, to w wielu miejscach teren jest nie do przejścia jeśli nie zna się odpowiednich przesmyków. Po drodze są bagna, szerokie rzeki, górskie masywy. Droga wiedzie z wysokości dwóch tysięcy metrów na ponad cztery tysiące do bazy, co wymaga aklimatyzacji. Oceniamy szanse dojścia pod górę samemu: wymaga to radykalnego ograniczenia bagażu i jedzenia, bo nie uniesiemy wszystkiego, poza tym w wielu miejscach przejście z dużym plecakiem nie wchodzi nawet w grę. Ryzyko jest ogromne, a na akcję ratowniczą trudno tu liczyć, to absolutny koniec świata, bez jedzenia zbyt długo nie przetrwamy jeśli się zgubimy. Na szczęście wieczorem zgłasza się kilku ochotników, którzy pójda z nami za niemałą sumę pieniędzy. W wiosce nie ma sklepów, to co mają uprawiają lub przynoszą z dżungli, właściwie nie znają prawdziwej wartości pieniądza, ale cywilizacja i jej prawa i tu funkcjonują. Czasem, raz na wiele miesięcy bywają w miasteczkach, tam ludzie potrafią ich oszukiwać podając nieprawdziwe ceny towarów. To zmusza do głębszej refleksji nad cywilizacją...

Dżungla

O poranku robię sobie dobre śniadanie, kawę i obserwuję krzątających się po wiosce ludzi. Myślę intensywnie jak to będzie dalej i jakie jeszcze przygody nas czekają, ale powoli już przyzwyczajam się do sytuacji. Stanowimy tu niemałą atrakcję, podchodzą do nas dzieci, a kobiety spoglądają z oddali. Ponieważ płacimy mężczyznom



Papuasi lubią się stroić, najczęściej to liście włożone pod opaskę, ale czasem nawet ładny motyl

i idziemy z nimi to jesteśmy bardziej akceptowani. Przychodzą nasi tragarze, po dwóch na każdego z nas, plecak nie może ważyć więcej niż 15 kg ze względu na trudy przejścia. Pakuję dwa worki dla tragarzy i plecak dla siebie. Ruszamy. Oprócz tragarzy ruszają z nami ich znajomi oraz kobiety z wioski, nasz pochód liczy ponad trzydzieści osób. Petr nie jest zdziwiony, mówi że wszyscy chcą się pożywić ryżem, który dla nich kupiliśmy. O tym, że dobrze jest znać miejscowe zwyczaje jeszcze nie raz się przekonam. Boguś wskazuje na łuki i strzelby, które Papuasi biorą ze sobą, ponoć na ptaki... Mimo wszystko pierwszy dzień wędrówki jest dość spokojny, zawieram trochę lepszą znajo-



Typowa dolina w Górach Śnieżnych, stąd już tylko dwie godziny do bazy

mość z moimi tragarzami częstując ich papierosami. Widziałem to kiedyś w filmach, świetnie się sprawdza i tutaj. Po kilku godzinach rozkładamy namioty, Papuasi budują szalasy z drewna i rozpalają ogniska, jak zwykle wieczorem pada deszcz. Ciemność zapada bardzo wcześnie więc i tak chodzimy spać, ale też pobudki są wczesne. Drugiego dnia przemierzamy dłuższy odcinek, pniemy się to w górę, schodzimy w dół, przekraczamy rwące rzeki. Wieczorem uczestniczymy w papuaskim przyrządzaniu posiłku. Do wyłożonego liśćmi dołu wrzuca się rozgrzane w ognisku kamienie i w ten sposób „gotuje” znalezione w lesie bulwy przypominające w smaku ziemniaki. Kosztują również wspaniałe egzotyczne owoce dżungli. Jak oni je zdobywają? Znikają na chwilę w gęstwinie i przynoszą coś dobrego. Niestety wieczór kończy się złą informacją. Bunt wśród tragarzy, nie chcą iść dalej i to nawet za większe pieniądze. Mediacje nic nie dają. Atmosfera jest napięta, zawarte w czasie dnia znajomości przestają funkcjonować, okazuje się, że bardzo trudno przewidzieć reakcje i nastroje panujące wśród tutejszych plemion. Nie skutkują racjonalne argumenty, podstawą jest tylko sponta-

niczna reakcja i chwilowe uczucia. Po kilku godzinach dochodzimy do porozumienia, jutro idziemy dalej, ale od tej chwili już nigdy nie będziemy mieć pewności czy kolejny dzień nie przyniesie podobnej sytuacji, a zostały jeszcze przynajmniej cztery dni drogi w coraz trudniejszych warunkach. Kolejne dwa dni upływają w spokoju, przyzwyczajamy się nawzajem do siebie, ogromne wrażenie robią zdjęcia robione cyfrowym aparatem. Nigdy nie widziałem takiej szczerej radości z powodu widoku swojego zdjęcia na wyświetlaczu. Niektórzy nawet pozuja, a inni domagają się swojej fotografii takiej jak ich pozostali koledzy. Wykonanie zdjęcia aparatem na filmy stanowi ryzyko bo, Papuasi są wyraźnie niezadowoleni jeśli nie mogą zobaczyć swojego fotografii. W podziękowaniu częstują nas niesionymi darami dżungli, trzeba przyznać w większości bardzo dobrymi.

Ostatnie dwa dni przed bazą zmienia się roślinność, w końcu widzimy niebo nad nami, las zamienia się w rodzaj tundry porośniętej wysokimi

Petr Jahoda w pobliżu szczytu



Autor z Januszem Adamskim na szczycie

Piramida Carstenza i Puncak Jaya

W 1623 r. holenderski żeglarz Jan Carstenz przybił do Nowej Gwinej i prawdopodobnie jako pierwszy biały człowiek zobaczył z daleka górę, która później przez panujących na wyspie Holendrów została nazwana jego imieniem. Wysokość szczytu określana jest wg różnych źródeł od 4884 do 5030 m n.p.m. Na południe od góry działa największa na świecie kopalnia złota i trzecia co do wielkości miedzi, stąd uzyskanie zezwolenia na wejście w te rejony jest bardzo trudne. Po przejściu Zachodniej Papui (przejściowo nazywanej Irian Jaya) przez Indonezję zmieniono nazwę szczytu na Puncak Jaya („zwyczajna góra” w jęz. indonezyjskim). Niemal wszyscy geografowie zaliczają Nową Gwineę do kontynentu

australijskiego (Australia i Oceania) stąd Puncak Jaya znalazł się w tzw. Koronie Ziemi, czyli w gronie siedmiu najwyższych szczytów kontynentów. Aby uniknąć jakichkolwiek wątpliwości większość zdobywców Korony Ziemi wchodzi również na Górę Kościuszki w Australii oraz na Elbrus zaliczany m.in. przez geografów rosyjskich do Europy, stąd do zdobycia Korony konieczne jest dziewięć szczytów. Pierwszym Polakiem, który zdobył Piramidę jest Jerzy Kostrzewa, który swe przeżycia opisał w ciekawej książce „Niedostępna góra Papuasów”. Pierwszym polskim zdobywcą Korony Ziemi jest Leszek Cichy, autor zimowego wejścia na Everest.

(JT)

trawami, paprociami i krzewami. Kluczemy wśród podmokłych terenów, jezior i potoków. Pojawiają się w końcu góry, szaro-czarne zamglone ściany. Robi się zimniej, to już około czterech tysięcy metrów. Najważniejszy jest ostatni dzień przed bazą. W deszczu, zimnie i mgłę gubimy drogę i schodzi-

my do zlej doliny, tragarze nie chcą zawrócić, jest im zimno, a wokół nie ma drzew aby rozpalić ogniska. Spędzamy nerwową noc, rano przechodzimy do właściwej bazy i rozdajemy się z naszymi towarzyszami. Teraz zostajemy już zupełnie sami wśród cichych gór.

Atak na górę

Po siedmiu dniach dotarliśmy do bazy. Wszyscy są z tego wyraźnie zadowoleni. Kilka dni wędrówki na znacznej wysokości pozwoliło się świetnie zaaklimatyzować. Przed nami osiemset metrów ściany do wspinania. Trudności III do V w skali UIAA. Przy dobrym tempie można to zrobić w jeden dzień. Pierwszy pomysł ataku pada od razu na najbliższą noc, jednak załamanie pogody i nocny opad śniegu chłodzią nieco nasz zapał. W nocy dostaję gorączki, 39,2 °C, szybka decyzja o antybiotyku. Nie wiem czy nie przytrafiła mi się malaria, wszak Nowa Gwinea to jedno z największych siedlisk komarów malarycznych na świecie. Biorę wprawdzie leki przeciw malaryczne, ale nigdy nie ma stuprocentowej pewności, że się nie zachoruje. O poranku jest już lepiej. Chłopaki idą na rekonesans pod ścianę, ja odpoczywam, atak na górę dziś w nocy. Dobrze jedzenie przez cały dzień i śpiwór puchowy na wygrzanie to podstawa dobrego samopoczucia. Wieczorem pakuję sprzęt, pobudka o 2.00 w nocy, pogoda świetna, nie pada deszcz i niebo pełne gwiazd to dobra prognoza.

Podchodzimy pod ścianę, kilka godzin wspinania w ścianie i około 7.00 rano stajemy na grani szczytowej. Stąd jeszcze ponad dwie godziny na wierzchołek grani. Napotykamy trudny uskok na grani, przechodzę z Petrem i Januszem na drugą stronę i idziemy w kierunku szczytu sprawdzając liny poręczowe dla reszty ekipy, będzie im łatwiej jeśli tu dotrą za nami. O 9.08 stoję na szczycie, widoki piękne i super pogoda, taka zdarza się ponoć tylko cztery dni w roku, jeden z nich był szczęśliwy dla nas. Pamiątkowe zdjęcia i w dół, na uskoku spotykamy Bogusia, reszta ekipy zrezygnowała i są już w drodze do bazy. Podejmuję decyzję, że pokażę Bogusiowi drogę w kierunku szczytu, Janusz zostaje na uskoku jako zabezpieczenie naszego powrotu. O 11.20 stoimy na szczycie, ja po raz kolejny. Jest już dość późno, boimy się załamania pogody, które często przychodzi po południu. Wracamy granią do Janusza, pokonujemy uskok i zaczynamy zjazd w dół do podstawy ściany. Szybko i sprawnie stajemy szczęśliwi pod ścianą, godzinę później witają nas w bazie. Kolejna góra z Korony Ziemi zdobyta. Czas myśleć o następnych.



Przeprawa przez najtrudniejszy uskok w grani, ostaną poważną przeszkodą na drodze do szczytu



Piękne widoki ze szczytu